

Notatki ze Szkoły wspólnoty z ks. Juliànem Carrónem

Mediolan, 29 lutego 2012 r.

Teksty będące przedmiotem pracy: *Chrześcijaństwo jako wyzwanie. U źródeł chrześcijańskiego roszczenia*, Pallottinum, Poznań 2002, s. 3–42.

– *Nono sono sincera* [Nie jestem szczerą]

– Romaria

Chwała Ojcu...

Uderzające jest to, że już w pierwszych liniach „Wprowadzenia” daje się zauważyć zdecydowane zatroskanie ks. Giussaniego, którego – jeśli chcemy za nim podążać i zrozumieć go – nie wolno nam przeskoczyć. Stąd też uznaję ten krótki paragraf za decydujący: nie będziemy w stanie w pełni zdać sobie sprawy z tego, co znaczy Jezus Chrystus, jeśli każdy z nas nie będzie miał takiej czulej i pełnej pasji świadomości samego siebie. Otóż, w czym nam pomógł ten nacisk ks. Giussaniego w pracy wykonanej przez nas nad tym dwoma rozdziałami, których tematem jest to, kim ja jestem?

Wraz z upływem czasu ogarnia mnie niepokój o to, czy będę w stanie się zmienić, czy stanę się dorosły oraz czy upływający czas nie spowoduje, że zacznę się cofać, a to znaczy, czy stanie się użyteczny dla mojego życia, czyli czy pozwoli mi osiągnąć coraz wyższy poziom sprawności (efektywności). I uderzyło mnie to, co powiedziałeś 25 stycznia – stając się dla mnie darem, łaską – iż: „Każdy z nas został pochwycony przez Chrystusa. Im mocniej ktoś został przez Niego pochwycony, tym bardziej dokłada sił w biegu, by Go jeszcze bardziej pochwyć [I to jest po prostu to, co mnie uderza]. Naszym ostatecznym celem nie jest już nawet przemiana, czyli nasza miara owego «stokroć więcej», ale Jego obecność, relacja z Nim, jak w każdej naprawdę ludzkiej miłosnej relacji: nic nie zaspokaja, z wyjątkiem obecności ukochanej osoby. To powoduje, że na świecie pojawia się postać człowieka, który nie daje się zredukować, a który nie zadowala się jakimś «pośrednim» celem” [„Ślady, s. XII]. To napętniło mnie głębokim pokojem, ponieważ to ja jestem tym człowiekiem, i pragnę być kimś nieredukowalnym oraz pragnę trwać w tym zakochaniu w ten sposób, ponieważ wydaje mi się, że obiektywnie, ja nie mogę postępować poniżej wymagań Jezusa.

Często za słowami, którymi się posługujemy, już pojawia się ta zasadnicza kwestia: nie zdając sobie z tego sprawy – jak powiedziałeś na początku – redukujemy naturę chrześcijaństwa do pewnego typu przemiany, do jakiejś efektywności. Dlaczego tak się dzieje? To jest bardzo zasadnicza sprawa, której musimy stawić czoła, ponieważ wiedząc wiele o chrześcijaństwie, w większości przypadków, gdy o nim mówimy, redukujemy je; redukujemy chrześcijaństwo do etyki, do wyobrażenia przemiany, do pewnej stabilności (obowiązku bycia zgodnym z pewnym wzorcem), do sentymentu bądź sukcesu, w sensie powodzenia. Dlatego uderza mnie, że ks. Giussani we „Wprowadzeniu” do książki, zaraz na początku mówi: „Aby jednak nie rozpatrywać chrześcijaństwa w sposób niepełny, uproszczony [i to jest sedno sprawy!] potrzebne jest zrozumienie i rzetelność, z jakimi człowiek postrzega zmysł religijny” (s. 9).

Jeśli my redukujemy zmysł religijny, czyli naturę naszego ja, nieuchronnie redukujemy także chrześcijaństwo. Podam przykład, którym posługiwaliśmy się już wiele razy: oczywiste jest, że to samo przytrafiło się także uczniom, którzy również pragnęli przemiany, oni także pragnęli sukcesu, a kiedy go osiągnęli, pełni entuzjazmu, myśleli sobie: widzisz, tym jest chrześcijaństwo! A Jezus, w jaki sposób koryguje uczniów? Skąd bierze się owa zmiana punktu widzenia [pewne przesunięcie]? Bierze się ona ze spojrzenia, jakim On ich ogarniał, ze spojrzenia, jakim obejmuje ich zmysł religijny, dramat ich „ja”, nie pomniejszając go: „Popatrzcie przyjaciele, jeśli wy cieszyście się z tych rzeczy, to one nie pomogą wam jutro rano stanąć na nogi”. Uwaga: to nie jest tak, że uczniowie nie mieli Go przed sobą, i nie tylko w tym rzecz, by mieć Go przed sobą, oni mieli Go przed sobą cielesnie – a my niejednokrotnie narzekamy,

że Go nie mamy! – On był obecny, lecz to nie wystarczyło, by uchwycić odmiennosc, by uchwycić Jego prawdziwą naturę. Potwierdzeniem tego jest to, iż apostołowie odczuwali większe zadowolenie z osiągniętego sukcesu niż z tego, że mieli Go przed sobą. Dlatego Jezus musiał zmienić ich punkt widzenia, musiał wprowadzić w nich tajemnicę, musiał uczynić ich świadomymi, wnosząc w nich ową delikatną i pełną pasji świadomość ich samych, bez której nie byłiby w stanie pojąć, że prawdziwa radość, prawdziwa odpowiedź tkwi w relacji z Nim, w fakcie, iż zostali wybrani. Czy widzicie, jak nieznacząca jest obiekcja, jaką często stawiamy, iż nie jesteśmy takimi „szczęśliwcami”, jak uczniowie? Nie na tym polega problem, oni bowiem mieli wszystko to, na co my narzekamy, że nie mamy, a przecież nie wystarczyło im, by w sposób automatyczny uchwycić kim jest Chrystus i aby znaleźć podstawę prawdziwej radości, jaką jest relacja z Nim. Brakowało im takiej świadomości siebie, jaką uchwycił w nich Jezus, owego spojrzenia, z jakim Jezus na nich patrzył. Ale uwaga: to nie jest tak, że Jezus „tworzy” to, kim oni są, nie, Jezus po prostu nie godzi się na zredukowanie ich do tego, do czego oni sami się redukowali; On po prostu patrzył na nich zgodnie z prawdą o nich. Jeśli to nie stanie się doświadczeniem w nas – powiada ks. Giussani – nieuchronnie zredukujemy chrześcijaństwo; możemy mówić o chrześcijaństwie jako wydarzeniu, możemy rozmawiać o wszystkim, używając wszelkich najświętszych słów, lecz zaledwie otworzymy usta, wszystko zostanie zredukowane. Nie wystarcza bowiem wypowiedzanie pewnych słów, by zmienić koncepcję siebie, potrzebne jest doświadczenie, spojrzenie na siebie samych, które jest decydujące. Dlatego te dwa pierwsze rozdziały są tak zasadnicze. Stawiam pytanie: kto z nas pracując w ostatnich tygodniach nad tekstem Szkoły wspólnoty, wyczytał coś, co spowodowało zmianę w sposobie pojmowania siebie samego? Tym bowiem jest Szkoła wspólnoty. Kto spośród nas obecnych może podzielić się czymś, w czym zobaczył, dotknął namacalnie innego pojmowania siebie? Jeśli nie, to zredukujemy Chrystusa.

W kwestii owej zmiany punktu widzenia chciałabym opowiedzieć ci o tym, jak pewien fakt, który wydarzył się między wczorajszym i dzisiejszym dniem, jest weryfikacją tego. Poczynając od 25 stycznia, a także pracując nad tymi pierwszy-

mi rozdziałami, starałam się bardzo rzetelnie podchodzić do tego, co powiedziałaś, a mianowicie, że weryfikacją przejścia od zmysłu religijnego do wiary jest odmienione ludzkie „ja”, stające wobec rzeczywistości. Moja serdeczna przyjaciółka, w oparciu o cały szereg szczegółów dotyczących mnie, mojego sposobu pracy i tego, jak podchodziłam do rzeczywistości, pomogła mi zrozumieć, że mój sposób wykonywania pracy nacechowany był analizą, dokładnie taką samą, jak u wszystkich innych, a zatem mój wkład w życie świata był równy zeru. I oto pierwszy sprawdzian tego: Jestem lekarzem kardiologiem, pracuję od niedawna, borykając się czy to z brakiem doświadczenia, czy z lękiem przed błędem czy z innymi jeszcze rzeczami. Oto co mi się wydarzyło: rozpoczynam dyżur i otrzymuję wezwanie, by skonsultować przypadek pewnej kobiety, o którym już wcześniej słyszałam od mojego kolegi. Według mnie to wezwanie było zbyteczne, niepotrzebnie mnie wzywali; owa kobieta, bowiem, dzień wcześniej była konsultowana w centrum medycznym, cóż więc mogłam dodać jeszcze ja? Odbierając to wezwanie, powiedziałam co o tym myślę koleżance, która mnie w to wciągnęła. I z taką postawą absolutnie zredukowaną i zamkniętą, jakby rzeczywistość była miejscem wzbudzającym strach, poszłam. Przeprowadzam konsultację, zamykam kartę choroby i wracam do domu. Coś jednak mi nie pasowało, coś mi się po prostu nie zgadzało! Czulałam jakąś krzyżącą pustkę w środku. Ty ciągle mówisz: „Sprawdzianem jest odmienione ja”; spostrzegłam natomiast, że ja pracuję tak, jak wszyscy: z moim zredukowanym „ja” zredukowałam całe moje pragnienie, by być twórczą w pracy, zredukowałam relację z ową pacjentką (istotnie, przyjrzałam jej się bardzo pobieżnie). Coś mi nie pasowało [nie zgadzało się].

A dlaczego coś ci nie pasowało? Czy dlatego, że nie byłaś efektywna?

Otóż, z klinicznego punktu widzenia nie miałam wątpliwości, lecz nie była to prawda o mnie, o której ty mi mówiłaś, nie była to prawda o tej rzeczywistości. I uderzyło mnie, że wewnątrz tej rzeczywistości zaczęłam sobie uświadamiać, iż właśnie na mnie popatrzono inaczej, i te słowa, które bez przerwy bombardowały moją głowę, na nowo wskazały mi drogę. Stąd też następnego dnia wracam na oddział, odnajduję osobę, z którą rozmawiałam przez telefon i mówię jej: „Nade wszystko

pragnę przeprosić za moje wczorajsze zachowanie”. Tu wywiązała się bardzo interesująca dyskusja, przede mną otworzył się świat, tak, że na koniec powiedziałam: „Proszę posłuchać, ja nie wróciłam tu z powodu jakiejś wątpliwości klinicznej, ale wróciłam z dla mnie samej, z powodu troski dotyczącej prawdy”. Następnie biorę kartę choroby i udaję się na rozmowę z konsultantem tego oddziału, który ma większe rozeznanie w tej sprawie niż ja. Omawiając ten przypadek chorobowy pokazał mi pewne szczegóły kliniczne, nad którymi się głębiej nie zatrzymałam. Po raz trzeci więc wracam na oddział – moim rozpoznawalnym rysem jest raczej zarozumiałość, i zapewne nie powróciłabym tam z powodu jakiejś idei czy pomysłu – ponownie odszukuję ową koleżankę i mówię jej: „Proszę mi wybaczyć, wczoraj prawie panią zwymyślałam a dzisiaj jestem tutaj...”. Odpowiedziała mi: „Nic nie szkodzi, ciągle się czegoś uczymy. Dziękuję jednak, że pani wróciła”. A ja pomyślałam sobie: dzięki temu innemu podejściu, które pozwoliło mi osiągnąć pełniejszy ogląd rzeczywistości, wraca sam Chrystus, by uczyć mnie jak pracować! Ze swym analitycznym podejściem nie potrafiłam tego ukazać, a relacja tak bardzo zredukowana powodowała we mnie ową pustkę. Dzisiaj, kiedy wróciłam do domu powiedziałam sobie: to jest inne życie, inna możliwość. Dzięki temu mogłam to zweryfikować, już z tego nie zrezygnuję.

Dziękuję. Życie może być inne!

Opowiem o tym, co widzę, iż naprawdę przemienia coś w moim życiu, a potem chciałbym jeszcze zadać pytanie. Tym, co naprawdę pozwala mi stać wobec samego siebie, wobec całego tego pytania, jakim jestem, wobec rzeczywistości jest relacja, która obejmuje całe moje życie, bardzo konkretna relacja z pewnymi osobami, które pokazują mi, że mogę stać wobec moich pytań, że nie muszę się bać tego, czym żyję. Pytanie, które we mnie pozostaje, a co także widziałem, jak bardzo jest obecne pośród nas, brzmi: w jaki sposób taka postawa może trwać, ponieważ nawet kiedy pozostaję w relacji z tymi osobami potem jakby mnie coś blokowało, jakbym mówił sobie: dobrze, teraz wszystko u mnie jest w porządku, znalazłem odpowiedź. Nie rozumiem zatem, co to znaczy, kiedy ciągle się mówi, że odpowiedź potęguje pytanie. W jakim sensie relacja z Chrystusem nieustannie otwiera na oścież moje człowieczeństwo, nieustan-

nie sprawiając, że moje pytanie pozostaje wciąż otwarte? Doświadczam bowiem tego, że w tzw. normalnych sprawach ta dynamika wydaje się być jasna (przejrzysty jest przykład zakochania, który tak często przytaczasz, ponieważ wobec osoby ukochanej nie spodziewam się, że osłabnie pytanie, ani że osłabnie odpowiedź), jednak w obliczu ostatecznych pytań jest tak, jakbym pojmował siebie w zupełnie inny sposób.

W czym widzisz ten inny sposób?

Czuję się jakby skrępowany [jakby w potrzebie]. Jak to możliwe? Spotkałem odpowiedź, skąd więc nadal ten pojawiający się wymóg? Spotkałem to, co jest odpowiedzią, coś, co sprawia, że relacja jest pełna, dlaczego więc nadal łapię się na tym, iż jestem kimś tak potrzebującym? Kiedy natomiast mnie to nie tłumaczy? Wtedy, kiedy stoję wobec kogoś, kto na nowo otwiera na oścież moje ja. Jednak zaraz potem znów zaczynam to jakby redukować, myśląc: dobrze, teraz już wszystko jest w porządku.

A zatem? Tak, jak rozumiesz co się dzieje w dynamice zakochania, w taki sam sposób musisz patrzeć na to, co się dzieje, kiedy rozpoznajesz Chrystusa obecnego, czy w tym pojawia się ta sama dynamika. W przeciwnym razie zaczynamy fantazjować. Dynamika nie jest inna, zwyczajnie jest stokroć razy potężniejsza, ponieważ o ileż bardziej wyjątkowa jest ta obecność, która cię pociąga... Spróbuj wyobrazić sobie, jak wobec tej wyjątkowości Jezusa w uczniach dochodziło do głosu owo pytanie: kimże On jest? Czy ono z upływem czasu słabło czy też, gdy widzieli to wszystko, co On czynił, tym bardziej potęgowało się ich zdumienie? Czy to jest jasne? My jednak możemy to pojąć nie wskutek wyjaśnień (które ty już, skądinąd, znasz), ale tylko dzięki zdumieniu w obliczu tego, co się dzieje. Możesz to zrozumieć nie główkując nad tym, ale przyglądając się temu, co się dzieje, kiedy to się tobie wydarza, i będziesz mógł znaleźć odpowiedź. Zobaczysz bowiem, że dynamika nie jest inna od tej, jaką widzimy w uczniach. Ty jednak musisz udokumentować to twoim doświadczeniem, w ciele twojego doświadczenia.

Niesamowitą rzeczą jest to, że ten fakt, wydarzył się teraz, w odniesieniu do mnie, ponieważ ja stworzyłam sobie pewien schemat, który ty obecnie mi pozytywnie wyróciłeś, w takim sensie, że po prostu odnalazłam się w tym, co mówiłeś o apostołach i o drodze, jaką przebyli, a która ni-

czym się nie różni od naszej drogi. Ojciec Niebieski zatem aż dwa razy dokonał pewnego przesunięcia, stawiając mnie wobec pytania, które zadałeś: gdzie jest prawdziwa satysfakcja? Mniej więcej rok temu znalazłam pracę, która bardzo mi odpowiadała, zaspokajała we mnie ów element, którego – w moim przekonaniu – brakowało mi dla mojego powodzenia, sławetnego powodzenia.

Oto pierwsza sprawa: my ciągle mylimy „odpowiedniość” z „powodzeniem, sukcesem”, a to już jest redukcją wobec „ja”.

To prawda, również dlatego, że w gruncie rzeczy było to pytanie dotyczące moich możliwości: uda mi się, nie uda mi się. A zatem: jakieś piękne doświadczenie, muszę wręcz powiedzieć – nadzwyczajne, przeżywamy także jakieś przepiękne zdarzenie, i wszystko jest w porządku. Jednak, w pewnym momencie, w chwili maksymalnej satysfakcji pojawia się ów ułamek sekundy, w którym kiedy mówię: i to jest wszystko? I w tym momencie najwyższej satysfakcji – musiałam przeżyć ją w pełni – powiedziałam: no nie, tym, co mnie interesuje jest relacja z Chrystusem. I przyszło mi na myśl to zdanie: „Ty jesteś tym, którego mi brakuje w tym wszystkim, co mi się podoba”, jednak w gruncie rzeczy to zdanie rozumiałam czysto teoretycznie, bez mierzenia się z nim w doświadczeniu. Tak było do połowy listopada. Na początku grudnia: „przewrót kopernikański”, niespodziewanie kończą się wszelkie możliwości, i mówiąc krótko, całe przedsięwzięcie zostaje zastopowane, a ja zostaję z kwitkiem odesłana do domu. Pozostaje jednak relacja, relacja wielkiej przyjaźni, i najboleśniej w tym wszystkim jest to, że choć nieważne, jak ona się zrodziła, to przecież zrodziła się i nadal trwa. I tu nastąpiło owo drugie przesunięcie, ponieważ w sytuacji wielkiej trudności ekonomicznej (a przyznaję, że nigdy wcześniej nie przeżyłam podobnego trudu) powiedziałam sobie: zmieniła się forma, ale nie zmieniło się pytanie. Pan ponownie mnie pyta w czym tkwi moja konsystencja. W piątek ponownie mam się spotkać z tamtym człowiekiem, nie wiem, czy zdołamy zacząć od nowa, lecz jest coś, czego nikt mi nie odbierze, to przeżyte doświadczenie.

Czego jednak się z tego nauczyłaś? Wyjaśnij mi dokładniej, dzięki czemu dostrzegłaś to, na co my usiłujemy znaleźć odpowiedź: czym jest Chrystus. Wielokrotnie bowiem nie tylko popełniamy błąd utożsamiania tych dwóch różnych rzeczy: powo-

dzenia i odpowiedniości – lecz także mylimy Chrystusa z jakimś przychodzącym nam na myśl wyobrażeniem. To zaś ostatecznie dokąd nas prowadzi? Do tego, że nie dochodzimy do uchwycenia tego, czym naprawdę jest Chrystus.

Otóż to, jeśli brakuje człowieczeństwa, owej tak jasnej percepcji siebie, wówczas to właśnie zwy- cięża...

I to jest właśnie to, co mnie interesuje; nie obchodzi mnie to, że nie popełniamy błędów, ponieważ jeśli ty przez pewien błąd nauczyłaś się tego, to jest to najlepsza rzecz, jaka się przytrafiła w twoim życiu! W przeciwnym razie, dlaczego mielibyśmy kroczyć za Chrystusem, jakież to interes miałby mieć Chrystus wobec nas, jaka jest różnica między Chrystusem i każdą inną rzeczą?

Po prostu dzięki prawdzie o mnie, dzięki mojej konsystencji.

Otóż to, lecz ja potrafię pojąć odmienność Chrystusa, a zatem uchwycić to, czym jest Chrystus, w pełni zdać sobie sprawę, co oznacza Jezus Chrystus – powiada ks. Giussani – tylko wtedy, gdy nie redukuję „ja”, gdy nie redukuję mojego „ja”. Dlatego zobaczcie, co mówi dalej we Wprowadzeniu ks. Giussani, po tych słowach, które przywołałam na początku: „Jeśli zatem moim celem jest odpowiednie ukazanie chrześcijaństwa, użytecznym będzie wydobywanie pewnych decydujących aspektów zmysłu religijnego”. Nie nawiązuje jednak do zmysłu religijnego w sensie jakiegoś ornamentu, ale właśnie w celu zrozumienia, czym jest chrześcijaństwo, ponieważ – powiada – bez niego nie rozumiemy chrześcijaństwa i je redukujemy. To zaś „zbiega się z wymiarem rozumnym [z pełnią wymogu rozumu], z rozumem w jego ostatecznym i najgłębszym aspekcie, [...], [zbiega się z owym] powszechnym i całościowym impulsem, jakim jest zmysł religijny, [zbiega się] z pilną potrzebą pełnej realizacji i wyczerpującej pełni” (*U źródeł chrześcijańskiego roszczenia*, s. 10–11). Jeśli nie jesteśmy lojalni, jeśli brak nam owego pełnego czułości spojrzenia na nas samych, wówczas redukujemy chrześcijaństwo. Przepraszam, ale czy to są rzeczy, które wymyślił sobie ks. Giussani, albo są one opisem tego, czym jest każdy z nas? Jeśli to jest opis materii, z jakiej zostaliśmy utkani, to każdy z nas winien starać się to uchwycić we wnętrzu własnego ja, to coś „ukryte” [...] wewnątrz każdego dynamizmu, każdego poruszenia ludzkiego życia, które dzięki temu okazuje się

być planem rozwijanym przez ów powszechny poryw [który nazywamy] zmysłem religijnym” (tamże s. 11).

Zobaczcie, że to wszystko o czym mówi ks. Giussani jest tak bardzo decydujące dla nas, iż bez tego nieuchronnie redukujemy chrześcijaństwo, nawet wtedy, gdy posługujemy się wszystkimi chrześcijańskimi terminami. Dlatego proszę was, byście nie przeskakiwali poszczególnych kroków, byście nie przewracali pośpiesznie kolejnych stron, mówiąc: „ja już to wiem, ponieważ zmysłem religijnym zajmowaliśmy się w ubiegłym roku”; tak naprawdę wcale tego nie znamy! Co więcej, jest to sprawa, którą – ośmielię się powiedzieć – najmniej znamy, a widać to po sposobie, w jaki rozmawiamy o różnych sprawach. Istotnie, co powinno być dla nas bardziej obecne, bardziej świadome i bliższe? Zmysł religijny, jakim jesteśmy. Lecz to, jak wielokrotnie widzimy, jest ostatnią myślą, jaka nam przychodzi do głowy, i przez co często denerwujemy się na nas samych, denerwujemy się na rzeczywistość, poszukujemy różnych rzeczy, które jednak po znalezieniu, niczemu nie służą. Ks. Giussani powiada: „Ta odwieczna sytuacja dysproporcji i nieosiągalności [fakt, iż ja nie potrafię jej osiągnąć] sprzyja pojawieniu się w ludzkiej świadomości pojęcia tajemnicy” (tamże s. 13). Jeśli tajemnica nie wzrasta nieustannie w naszej samoświadomości ludzkiej, nieuchronnie odnosimy się do wydarzenia chrześcijańskiego w zredukowany sposób i bierzemy je za coś innego (jak się to zdarzało także apostołom). Dlaczego? Dlatego, że w gruncie rzeczy nie pojęliśmy do końca, co naprawdę oznacza Jezus Chrystus. To zaś nie jest problem jakiejś efektywności, czy kwestia związana z tym, aby być doskonalszymi lub aby popełniać mniej błędów. Jest to natomiast sprawa poprawnego pojmowania rzeczywistości, uchwycenia w prawdziwy i pełny sposób tego, co znaczy Chrystus. Jeśli my pomijamy ten aspekt sądząc, że już jest dla nas jasny, przeczytamy do końca tę książkę i nadal będziemy redukować Chrystusa, nieuchronnie gubiąc to, co najlepsze. Zapewniam was: zgubimy to, co najlepsze! Tylko wtedy, gdy zdajemy sobie sprawę z tego, kim jesteśmy, uświadamiamy sobie jak wielką łaskę stanowi Jezus Chrystus.

Prezentując książkę, cytujesz słowa ks. Giussaniego: „Chrześcijaństwo wydarza się w komunii, ale rozgrywa się całkowicie w wolności osoby”.

Proszę cię, abys pogłębił od strony metodologicznej tę właśnie sprawę. W odniesieniu do towarzystwa, bowiem, mówisz tak: „Nasze wzajemne wsparcie nie może przyjąć innej logiki [kształtu], jak tylko kształt świadectwa. [...] Na chrześcijańskie roszczenie mogę odpowiedzieć Panu tylko ja”.

Nie tak dawno w różnych środowiskach związanych z ruchem dane mi było przeżyć pewne okoliczności, które okazały się być wielką okazją do zweryfikowania mojej wiary. W tych kontekstach zostałam zmuszona do porównywania żywego doświadczenia odradzania się mojego ja, powiedziałabym niemalże rewolucji, przede wszystkim dzięki pracy, do której nas zachęcał, z pewnym typem postawy, którą ośmieliłabym się nazwać jako rezygnacja z własnego serca, a zatem i rezygnacja z Chrystusa. Te doświadczenia nasiliły we mnie pewien niepokój, co więcej, w pewnym sensie pomogły mi je odkryć jako bogactwo – jestem bardzo przywiązana do św. Pawła, mówiącego: Rzeczywistością bowiem jest Chrystus, wszystko służy dobru tych, którzy kochają Boga, zaś śmierć jest zyskiem” –, jednak ja zawsze rozumiałam rzeczywistość jako coś, co jest poza mną. To doświadczenie jest dla mnie jakąś wielką podarowaną mi okazją, by odkryć, w jaki sposób Chrystus zaskakuje mnie poprzez mój niepokój i w jaki sposób ów niepokój staje się bogactwem. To zaś jest trochę tym, o czym mówiłeś wcześniej, właśnie dlatego, że staje się narzędziem pomagającym wydobyć mi się z więzów pewnych dynamik. Zatem te doświadczenia wzmogły jeszcze bardziej we mnie niepokój, przynaglając do odnowienia postawy żebrania i do uznania za towarzyszy drogi – i to jest ów krok – grzeszników z ewangelicznej opowieści. Przytaczam to jako postawę, ponieważ całkiem niedawno usłyszałam podczas Mszy św. ten fragment Ewangelii i odniosłam wrażenie, że on pasował do mnie. „Celnik natomiast stał z daleka i nie śmiał nawet oczu wznieść ku niebu, lecz bił się w piersi i mówił: Boże, miej litość dla mnie, grzesznika. Powiadam wam: ten odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten. Każdy bowiem, kto się wywyższa będzie ponizony, a kto się unizą będzie wywyższony”. W tej dynamice, którą opisuję, bardzo mnie uderzyła homilia Ojca Świętego z uroczystości Objawienia Pańskiego, której fragment chcę zacytować: „Niespokojne serce [...] jest tym sercem, które ostatecznie nie zadowoli się niczym, co jest mniejsze od Boga, i w taki właśnie

sposób staje się sercem, które kocha. Nasze serce jest niespokojne wobec Boga i pozostaje takim, chociaż dzisiaj, dzięki bardzo skutecznym «narkotykom» próbuje się człowieka od tego niepokoju uwolnić». Wracam do punktu wyjścia, otóż w doświadczeniu, do którego się odwołuję, zobaczyłam, jak towarzystwo – zamiast być miejscem świadectwa, niesie ryzyko stania się jednym z tych „narkotyków”, o których mówił Papież. Chodzi o przewrót w metodzie, która zamiast wspierać pełną świadomość siebie i swego bytu uczynionych dla Tajemnicy, dla nieskończoności – „brakiem czego jest ten brak?” – dąży raczej do spłylenia pragnienia i błagania, sprzyjając słynnej postawie tapisroulant (równi pochyłej). Przeciwnie, wierność temu, co Newman nazywa „sumieniem”, a co ks. Giussani definiuje jako „serce”, zaś Benedykt XVI dookreśla jako „serce niespokojne”, jest interpretowane jako indywidualizm albo autonomia, bądź jeszcze gorzej, jako brak dążenia do posłuszeństwa. A zatem jest tak, jakby w pewnych kontekstach – oto percepcja, jaką odniosłam – „ja” nie powinno już istnieć. A zatem moje pytanie: jak ono ujawnia się? Niekiedy bowiem odnoszę wrażenie, że osoba powinna dokonywać wyboru pomiędzy towarzystwem a własnym sercem.

To jest alternatywa do odrzucenia. To jednak, do czego nas przywołujesz, jest bardzo istotne, ponieważ każdy jest wezwany po imieniu (w przeciwnym razie należałoby przekreślić Ewangelię): Jan, Maryja, Zacheusz, Mateusz... Każdy jest wezwany po imieniu, każdy jest wezwany, by osobiście odpowiadać, ponieważ – jak mówiliśmy – nie ma nic bardziej osobistego niż taka odpowiedź. Zdarza się, że niekiedy redukujemy sposób naszego bycia razem, lecz to nie będzie nigdy pełne towarzystwo ruchu; możemy zredukować pewne sposoby przeżywania towarzystwa, lecz nie towarzystwa samego w sobie. Towarzystwo bowiem, dopóki Pan daje nam łaskę życia nim zgodnie z danym nam charyzmatem, będzie zawsze pomocą w przeżywaniu rzeczywistości. Potem, na różne sposoby, możemy używać go – mówiąc za Papieżem – jako „narkotyku”. Jasne? – stąd też, dzięki temu, co nam się przytrafiło, możemy doświadczać lepszego życia niż prawie wszyscy ludzie, których znamy, lecz to – podobnie, jak u uczniów Chrystusa – zamiast wzmacniać coraz bardziej napięcie (napięcie), może powodować, że czujemy się coraz bardziej zadowoleni; zamiast wprowa-

dzać napięcie, wprowadza spokój, który je spłyca. Powiem prosto i wyraźnie: takie towarzystwo nie będzie nigdy towarzystwem chrześcijańskim, będzie natomiast jakąś ciągle czyhającą deformacją towarzystwa chrześcijańskiego. Stąd też nie możemy ulegać owej alternatywie towarzystwo-ja, ponieważ wędrówkę podejmujemy wspólnie; także tylko czytając ks. Giussaniego odnajdujemy wewnątrz naszego towarzystwa wszystko to, czego nam potrzeba do odczuwania owego napięcia, owego przywoływania do prawdy (nawet gdybyśmy wszyscy byli jakoś zredukowani). Wystarczy jednak jedna chwila, aby dzięki sposobowi, w jaki jesteśmy razem albo dzięki temu, co sobie mówimy, kiedy jesteśmy razem, aby na nowo wzbudzić napięcie naszego „ja”. A kiedy któreś z naszych środowisk usiłuje zredukować tę dynamikę, to trzeba mu rzucić wyzwanie, ponieważ bez takiego miejsca, jakim jest Kościół, bez takiego miejsca, jakim jest ruch, w którym wciąż na nowo jesteśmy budzeni, nieuchronnie ulegamy całkowitemu spłyleniu. Dlatego towarzystwo jest tak bardzo istotne dla „ja”, ale towarzystwo jest uczynione z wielu żywych „ja”, i to jest właśnie to, ku czemu winniśmy zmierzać i o co musimy błagać. Oto bowiem sposób, w jaki naprawdę będziemy dla siebie towarzyszami drogi: kiedy świadczymy sobie wzajemnie czym jest życie.

To wszystko, czemu dzisiaj stawiliśmy czoła, jest fundamentalne do wzajemnego dawania sobie świadectwa poprzez sposób, w jaki trwamy w rzeczywistości i ją przeżywamy. Dlatego pragniemy na nowo rzucić to wyzwanie każdemu z nas. Rozdziały te, nad którymi pracujemy, są zasadnicze, ponieważ bez nich nieuchronnie będziemy redukować Chrystusa, i nie będziemy w stanie w pełni zdać sobie sprawy co oznacza dla nas Jezus Chrystus. Ktoś napisał do mnie: „to może się wydarzyć jedynie z Chrystusem obecnym”. I to jest prawda, ponieważ my Nim już żyjemy poprzez wiarę. Jednakże powiedzenie „Chrystus obecny” nie może stać się alibi, ponieważ także dzięki wierze muszę się nieustannie wychowywać do takiego spojrzenia, do takiej uważnej, czulej i pełnej pasji względem siebie świadomości. Faktycznie, kiedy w ubiegłym roku powtarzałyśmy sobie wielokrotnie, że Chrystus przyszedł, aby wychowywać w nas zmysł religijny, rozumieliśmy przez to właśnie powiedzenie, że On przyszedł wychowywać nas do takiego poj-

mowania „ja”. Dlatego wzrastać w rozumieniu Tajemnicy jest decydujące, by móc naprawdę uchwycić kim jest Jezus Chrystus.

Do następnego spotkania czytamy trzeci i czwarty rozdział U źródeł chrześcijańskiego roszczenia. Chciałbym podkreślić dwie rzeczy odnośnie do pracy nad tymi rozdziałami. Pierwszą z nich jest pytanie Dostojewskiego, jakie znajduje się w trzecim rozdziale: „Czy człowiek światły, współczesny Europejczyk, może wierzyć, naprawdę uwierzyć w bóstwo Syna Bożego, Jezusa Chrystusa?”. To jest to pytanie, które wino być ciągle obecne w pracy nad tymi rozdziałami: co może uczynić rozumnym odpowiadania na to pytanie. Stąd decydującym krokiem jest to, co przeczytamy na temat przewrotu w metodzie. Dlatego stawiam wam następujące pytania: co pozwala mi uchwycić ową zmianę metody w moim życiu? Co pozwala mi pojąć czy jestem nadal na poziomie zmysłu religijnego lub już jestem na poziomie wiary? Dlaczego ów tak decydujący pierwszy paragraf trzeciego rozdziału tak łatwo przychodzi nam powtarzać, ale w praktyce życiowej nadal bardzo często posługujemy się metodą zmysłu religijnego, chociaż używamy chrześcijańskiej terminologii? Dzięki czemu odkrywam, że dokonała się we mnie ów przewrót w metodzie, stając się doświadczeniem, w taki sposób, by to nie uległo redukcji jedynie do poziomu wyjaśnienia intelektualnego, nie wiedząc o co chodzi, gdy mówimy o doświadczeniu? Ponieważ jeśli tego nie zrozumiemy, to będzie trudno – powiem więcej – będzie niemożliwością zdanie sobie w pełni sprawę, co znaczy Jezus Chrystus, nawet jeśli wydaje się nam iż to wiemy, ponieważ posługujemy się pewnymi chrześcijańskimi wyrazami. Dlatego sugeruję wam tę metodę, aby pomóc nam w pracy.

Następna Szkoła wspólnoty odbędzie się 28 marca o godz. 21.30. Podejmiemy pracę nad trzecim i czwartym rozdziałem U źródeł chrześcijańskiego roszczenia.

Odnosnie do Szkoły wspólnoty zachęcam was do ponownego przeczytania na stronie ruchu CL (w dziale dotyczącym Szkoły wspólnoty) syntezę z niektórych spotkań odpowiedzialnych z ks. Giussanim, gdzie pokazuje on czym jest Szkoła wspólnoty i objaśnia jej metodę. To jest pomoc, aby on sam był bardziej świadomie obecny.

Plakat wielkanocny.

W tym historycznym momencie, w którym Papież zaanonsował ogłoszenie Roku Wiary i w którym my, pracujemy na Szkole wspólnoty, podejmując temat wiary w Chrystusa, jak nam powiedział ks. Giussani, oczami apostołów, by przemierzyć drogę, którą oni przeszli: od zderzenia się z Jego człowieczeństwem po pytanie o Jego boskość – ponowne zaproponowanie tekstu z plakatu z 1988 roku, połączonego z obrazem Chrystusa (autorstwa Masaccio), który wyraża ową atrakcyjność i moc Jego boskości teraz – wydaje się być dla nas, jak i dla wszystkich najbardziej współbrzmiającym osądem aktualnej sytuacji, w jakiej przychodzi nam żyć.

Używajmy go zatem w naszych środowiskach. Jest to okazja, by dzielić się z wszystkimi tym osądem o naszej historii i historii wszystkich ludzi. Przeczytam jego treść: „Smutnym tonem zwrócił się do nich imperator: «Dziwni ludzie... powiedzcie mi więc sami – wy, chrześcijanie, porzuceni przez większość swoich braci i przywódców, potępieni odczuciu ludu: co jest dla was najdroższe w chrześcijaństwie?» W tym momencie podniósł się, niczym biała świeca, starzec Jan i odrzekł łagodnie: «Miłościwy Panie! Najdroższy jest dla nas w chrześcijaństwie sam Chrystus – On sam i wszystko, co od Niego, wiemy bowiem, że w Nim zamieszkuje cieleśnie cała pełnia Bóstwa»”. Wydaje mi się, że z tego, co zobaczyliśmy dzisiejszego wieczoru, zaczynamy rozumieć, iż wcale nie jest tak oczywiste to, co jest dla nas najdroższe. Wielokrotnie ze zdumieniem łapiemy się na tym, iż tym, co jest dla nas najdroższe wcale nie jest sam Chrystus, ale różne rzeczy, które są konsekwencją, nie zaś Jego obecność, ani Jego osoba. Plakat, zatem, staje się osądem, przywołaniem dla odnowienia pamięci o tym, czym jest chrześcijaństwo. Mając go przed oczyma przez cały rok, życzymy sobie, aby wzrastało w nas ciągle pragnienie Chrystusa – jak to powiedzieliśmy sobie podczas prezentacji książki szkoły wspólnoty. To jednak wiąże się z tym, o czym mówiliśmy dzisiaj: możemy nie pragnąć niczego innego oprócz Chrystusa, jeśli zrozumiemy, czego naprawdę nam potrzeba; jeśli jednak ta potrzeba ulegnie redukcji będziemy czynili mniej i zadowolimy się czymś, co jest mniejszym od Niego.

Książką miesiąca marca jest *Mistrz i Małgorzata* Bułhakowa.

Zaproponowaliśmy tę powieść, ponieważ w odniesieniu do szkoły wspólnoty, którą robimy, może nam ona pomóc w refleksji nad historycznością Jezusa, który pozwala się spotkać poprzez różne fakty i ich następstwa.

W lutowym numerze włoskich *Tracce* oraz na stronie ruchu znajdziecie prezentację i artykuł do-

tyczące tej powieści. Mogą one pomóc w lekturze oraz w ukazaniu znaczenia fantastycznych pomysłów.

Przyjdź Duchu Święty. Przyjdź przez Maryję.